

Nie było to zjawisko „samo w sobie”, to nie był wyłącznie interes i sukces tych klubów. One otworzyły na świat drogę naszej reprezentacji. A dziś? Nasi gracze pracują głównie na dobrą opinię klubów zagranicznych. Podzielim tezę Piechniczka, że to „znak czasu”, ale mam też prawo zaprotestować przeciwko spychaniu naszej ligi na szlaki sportowego półkolonializmu, jak to czynił klan Ptaków.

Sukces „biało-czerwonych” w Niemczech był możliwy, natomiast na grę dawnego Górnika, Legii i Widzewa jeszcze długo musimy poczekać. Nawet gdyby ta pseudobiegająca „brazylijska Pogoń” wybiła się na Ligę Mistrzów, to nie byłoby powodów do zadowolenia. Zapewne coś na tym skorzystałaby rodzina Ptaków, może też garstka kosmopolitycznych kibiców, ale nie polskie piłkarstwo. Właściciel Pogoni Szczecin, wciąż żartobliwie nazywanej „portowcami”, zabiegał o lepsze emerytury dla nie chcianych gdzie indziej „wątpliwych talentów z Copacabany”.

Antoni Piechniczek przypomina, że „Trudno nie cieszyć się pucharami Europy i świata zdobytymi przez Bońka i Młynarczyka, a także sukcesami wielu innych... Doświadczenie i mądrość przychodzą latami i w tym zakresie piłkarze ci byli lepsi, jednak to podstawowe wykształcenie pobierane na naszych boiskach pozwoliło im na zrobienie takich karier... Nie może być jednak tak, że menedżerów jest więcej niż uzdolnionych piłkarzy, z których każdy, który rokuje nadzieje na przyszłość, natychmiast wyjeżdża z kraju. Jak pogodzić się z faktem, że w niektórych klubach obcokrajowców jest więcej niż rodzimych piłkarzy?”.

Drogi Antku! Wyjąłeś mi te smutne prawdy z ust. Zresztą, w całej tej opowieści starałem się przekonać ludzi futbolu, że szkolenie młodzieży w rodzimych klubach jest rzeczą najważniejszą, a rola PZPN w tym względzie równie duża. Byłem kiedyś, jak ty do niedawna – wiceprezesem do spraw sporto-

wo-szkoleniowych, wraz z Zientarą i Strejlauem, Górskim i Wójcikiem mieliśmy wtedy odwagę zaprotestować przeciwko rabunkowej gospodarce utalentowaną młodzieżą. „Nowocześni” znawcy futbolu uznali tę naszą troskę o reprezentację za relikw przesłości, zarzucili ludziom podobnie myślącym konserwatyzm i wkrótce... zlikwidowali Wydział Szkolenia. Staraleś się przywrócić mu należną rangę. Ale czy zdołałeś przywrócić mu rangę z czasów Koncewicza, Forysia i Górskiego, także Talagi, Zientary, Gmocha i Strejlaua? Nie. Czy dlatego zrezygnowaleś, choć masz odpowiednie kwalifikacje?

Działałeś w trudniejszej sytuacji. Wolny rynek, ów bożek nowobogackich, wyprowadzenie ligi z PZPN, samowola właścicieli klubów i pojawienie się w krajowym piłkarstwie, obok ludzi z pasją i uczciwych, typowych dorobkiewiczów, nie ułatwiła ci zadania. Wiem, że chciałeś przejść do historii polskiego piłkarstwa nie tylko jako dobry trener klubowy i selekcjoner, który doprowadził reprezentację do dwóch finałów mistrzostw świata, lecz także jako wybitny szef pionu szkolenia. Miałeś na to twarde „papiery, ale „miękkie” serce. Nie zdołałeś wziąć tego wszystkiego w jedną garść i jak trzeba, uderzyć pięścią w stół. Odebrać temu i owemu ligową licencję i dać wszystkim do zrozumienia, że – owszem – w sporcie pieniądze są ważne, ale jeszcze ważniejsza jest umiejętność właściwego ich wykorzystywania. Nie potrafiłeś przekonać „współczesnych mędrców futbolu”, że w klubach i piłkarskiej centrali szkolenie jest najważniejsze. W klubach, kołach sportowych, w okręgach, ale w efekcie końcowym na potrzeby ligi i reprezentacji! A ci, co tworzą ten „piłkarski produkt”, w klubie i PZPN zasługują na uznanie największe. Ty tego zaszczytu nie dostąpiłeś. Czy dlatego zrezygnowaleś?

Znam cię dobrze. Oburzałeś się, gdy jakiś „okazjonalny” znawca futbolu wyrzucał trenera z klubu. Sobie nie dałbyś w „kaszę dmuchać”, jednak wobec losu młodszych kolegów po fachu, byłeś bezradny. Odszedłeś. Masz w dzisiaj-

szych czasach, atut do niepogardzenia – jesteś niezależny finansowo. To właśnie w połączeniu z ogromną wiedzą piłkarską, szerokim o zabarwieniu filozoficznym spojrzeniem na świat, dużym doświadczeniem i trudnym do podważenia autorytetem pozyskanym za „dobrą robotę”, sprawiło, że stałeś się jedną z ikon PZPN. Przeto szkoda, że odszedłeś. O tobie nawet Jan Tomaszewski, obsesyjnie ścigający wszystkich wyżej od niego stojących trenerów i działaczy, nie mógłby powiedzieć, że jesteś „nieudacznikiem”. Dobrze znasz smak finałów mistrzostw świata. Twój czas w PZPN-ie dopiero nadchodzi. Nie potrafiłeś tego wykorzystać, czy znudziła cię bezradność „oblężonej twierdzy”?...

Być może nieco za dużo miejsca poświęciłem sprawie szkolenia i Piechniczki, ale uczyniłem to celowo. Bo szef tego pionu, obojętnie kto nim jest, musi wreszcie uderzyć pięścią w stół! Czy zrobią to następcy? Pytałem, gdy trwała jeszcze batalia o mistrzostwo Europy 2008, w przeszłości owoc dla nas zakazany. Antek zna ten ból. Był jednym z aktorów bardzo udanego w roku 1967 meczu z Belgią na Heysel w Brukseli, ale tamto zwycięstwo przyszło za późno. Wyprzedziła nas wtedy Francja, a wcześniej i później głównie Hiszpanie, Holendrzy, Niemcy i Anglicy. Klasa tych rywali w znacznym stopniu tłumaczy te wpadki. Tak przykre chwile przeżyło kilka pokoleń naszych piłkarzy, począwszy od Brychczego i Pohla w roku 1959, a w 2003 na Dudku i Szymkowiaku skończywszy. Wraz z nimi powodów do zadowolenia nie mieli nasi najwybitniejsi trenerzy: Górski, Koncewicz, Forys i ich następcy. Piechniczek także nic nie wskórał, a Paweł Janas – mimo kilku efektownych zwycięstw – nie zdołał odrobić strat Bońka poniesionych w meczu z Łotwą w Warszawie. Przed turniejem w Austrii i Szwajcarii los przydzielił nam dużo słabszych przeciwników: Portugalię, Serbię, Belgię, Finlandię, Armenię, Azerbejdżan i Kazachstan. Niegdyś ze wszystkimi wygrywaliśmy. Szansa ogromna! Jak wykorzysta to Leo Beenhaker? Czy wreszcie będzie awans?

Po nieudanym występie na Weltmeisterschaft 2006 pytanie to miało wymiar szczególny. W reprezentacyjnym futbolu staczaliśmy się na dno. Na tej krętej drodze pojawiło się wreszcie jakieś obiecujące światełko. Jeśli tak, to trzeba ten uśmiech fortuny w pełni wykorzystać. Przerwać ten zaczarowany krąg i na Euro 2008 pokazać się z jak najlepszej strony. Marzenia. Znowu przeważało „chciejstwo”, a nie realne możliwości. Przez dziesiątki lat główną przyczyną owych barier nie do sforsowania niemal wyłącznie była zła praca w klubach, a w PZPN brak rozumnej strategii w budowie reprezentacji. Po każdym mistrzostwach świata zespół narodowy rozpadał się, jak ten przysłowiowy domek z kart. Na pozostałościach powalonej konstrukcji usiłowano budować europejskie nadzieje. Tymczasem los narzucał partnerów z najwyższej półki. Wreszcie szczęście się uśmiechnęło, w naszej grupie potentatów nie było. W roku 2007 w dużo słabszym towarzystwie wygraliśmy więc eliminacje, ale w Austrii w puli finałowej znowu była bryndza. Jeden punkt i jedna bramka (i to ze spalonego) zdobyte w trzech meczach. Boże! I ja to w ankiecie tygodnika „Przegląd” (jako jedyny) przewidziałem!

W roku 2012 Polska wspólnie z Ukrainą organizuje kolejne mistrzostwa Europy. Teraz tak trudne niegdyś eliminacje wreszcie nas ominą. Z europejską elitą zagramy na pewno. To wyraźny dar niebios – powiadają mocno wierzący. – Czy tylko? Zapewne na takie wyróżnienie nie miały wpływ miały względy polityczne oraz historyczna zażyłość „trójkolorowych” z „biało-czerwonymi”. Boniek to podkreślał, a Platini – być może – to „zaklepał”. Na przekór skomplikowanej terażniejszości! Mimo bezsensownych ataków Lipca na Listkiewicza, marionetkowych „rządów” kilku uległych komisarzy i bezpardonowej walki o fotel prezesa Związku. W atmosferze „zimnej wojny” współczesnych hunwejbiniów z „leśnymi dziadkami” trwał niewiele obiecujący serial (moim zdaniem bezsensowny) permanentnych nadzwyczajnych zjazdów PZPN. Zmienność nastrojów była tak kapryśna, jak pogoda w marcu.

Chłodem powiało zwłaszcza przed wyborem nowego prezesa i kandydatów do znacznie okrojonego zarządu. Wysoko mierzył Zdzisław Kręcina, śnił o sławie Tomasz Jagodziński, a gość z Ukrainy stawiał na Zbigniewa Bońka. Tymczasem ster PZPN dość łatwo przejął Grzegorz Lato. Wtedy na dobre się zagotowało. Odżyły kłótnie w piłkarskiej rodzinie i na szczytach sportowej władzy. Tomasz Lipiec wciąż miał bowiem kłopoty z wymiarem sprawiedliwości, a nowy minister z kolegami ubabranymi w grach hazardowych. Niedawni sojusznicy usiłowali strącić z piedestału prezesa Związku. Lato zbywał to ironicznym uśmieszkiem. Dla świętego spokoju, głównie z „czwartą władzą” wyniósł Franciszka Smudę na selekcyjerskie wyżyny. Może też wierzy w cuda? „Franc” nie bryka tak, jak Leo, ale – jak go znamy – „w kaszę dmuchać” też sobie nie pozwoli. Chce grać dla ludzi, ofensywnie, nie pęka. Oby wytrzymał w tym przesłaniu. Wszak piękne stadiony i prawdziwi kibice na to właśnie czekają!

❧ POSTSCRIPTUM ❧

czyli

CZAS POLEMIK I SPROSTOWAŃ

Strzelanie na wiwat

Wróg publiczny numer jeden?

Uroki płynięcia pod prąd

Już Prus to przewidział

Kłótnie w rodzinie

Mit „dziewięciu wspaniałych”

Prawdy ponadczasowe

Syndrom pierwszego meczu

Pożegnanie Janasa

Era Beenhakkera

Powracająca fala

„Komisarz” Tomaszewski ?

Sceptycy z lubością powielają opinię, że „nic dwa razy się nie zdarza”. W sporcie, zwłaszcza w piłkarstwie, jest to pogląd mocno przerysowany. Bo tu permanentna „huśtawka nastrojów” i formy, dużo częstsza niż w innych środowiskach skłonność do popadania z jednej skrajności w drugą, a także uporczywe odwoływanie się do historii, wyraźnie kłóci się z tym przekonaniem. Nic więc dziwnego, że znaczna część piłkarzy jest na te pogaduszki nieczuła, a bywa, że ci najbardziej przekorni znajdują na to nieco pokrętną odpowiedź: „widocznie los tak chciał”. I zaraz dodają: „sport rządzi się własnymi prawami”. Tu wszelkie proroctwa są ryzykowne, zwłaszcza w futbolu wszystko może się zdarzyć.

Taki – wbrew intencjom – fatalistyczny refren powtarza się przed każdym nowym sezonem piłkarskim, po zmianie ekipy kierującej Związkiem lub przed znaczącą imprezą międzynarodową. Usta są wtedy pełne krzepiąco brzmiących frazesów, ambitnych zobowiązań i mocnych postanowień poprawy. A to, że trzeba energiczniej wziąć się w garść, a to uniknąć wcześniej popełnianych błędów i z przykrych doświadczeń wysnuć budujące wnioski. To teraz szczególnie mocno wyrażana skrucha i zapewnienie, że – niczego ślepo nie powielając – należy twórczo rozwijać osiągnięcia poprzedników. Wszak nie jest prawdą, że „cud zdarza się tylko raz”.

Niestety, najczęściej są to tylko puste słowa, obietnice bez pokrycia. W naszej dyscyplinie, to przykrość najdotkliwsza, mądrość rzadko pojawiała się nawet po szkodzie. Z mocarstwowych ambicji jednak nie rezygnujemy, ergo – na przekór skromnym możliwościom pobrzękujemy szabelką. Jest na to zapotrzebowanie nie tylko społeczne, także polityczne, więc w tej kawaleryjskiej szarzy media dzielnie sekundują hurra optymistom. Nie tonują złudnych obietnic, często wbrew przekonaniu, że w futbolu umiar w prezentowaniu opinii byłby bardziej wskazany. Wolą podgrzewać nastroje, węszyć przy tym sensacje, wszak dziś taka

jest potrzeba niemal we wszystkich redakcjach. Nikogo nie zrażają szpetne pomyłki, mijanie się z prawdą historyczną, manipulowanie faktami. Co tam wie-
dza, rzetelna informacja i do tego fachowy komentarz! Łatwiej trafić kulą w płot!
Chlebobdawcy i tak będą zadowoleni. Przecież to głównie oni nakłaniają perso-
nel do strzelania na wiwat.

Pojęcie „*umieć przyznać się do błędu*” jest dziś mało popularne. Nato-
miast beztrąsko triumfuje „*wykręcanie kota ogonem*”. Gdy nadmiernie roz-
budowane widoki na sukces nijak mają się do rzeczywistości, wówczas dys-
kretne umywa się ręce lub zmienia front oddziaływania na opinię społeczną
i niemiłosiernie chlaszcze się wyłącznie ludzi „trzymających władzę”. Tylko
w nich upatruje się źródeł wszelkiego zła. Natomiast główni „twórcy” nie-
powodzenia i podbijania bębena, najczęściej mają się dobrze. To niespra-
wiedliwe. Przed Mundialem w Niemczech zarówno sztabowcy z PZPN, jak
i piłkarze dmuchali w tę samą trąbę. Szeroko rozwijali związkowe sztanda-
ry i bojowo wymachiwali nimi na wietrze. Graczy jednak rozgrzeszono, jak-
by żywcem przenosząc na sportowy grunt zawołanie Nicolla Machiavellie-
go: „**Winę za występki spóółstwa ponoszą władcy**”. W naszej sytuacji se-
lekcjoner i prezes pod topór!

Niewątpliwie ich „winą wielką” była zła ocena sił własnych oraz wadliwe
rozpoznanie klasy rywali. Bujano gdzieś w obłokach, a nie twardo stąpano po
ziemi. Od biedy można to zrozumieć, bo tego rodzaju schorzenia doskwiera-
ją nie tylko ludziom kierującym sportem. To globalna dolegliwość. Zatem pił-
karzy też nie wypada rozgrzeszać. Jednak tylko część mediów wyrażała podob-
ną opinię, starając się przy tym zachować w miarę humanitarne formy kome-
ntarzy. Niestety, były one brutalnie zagłuszane przez napuszonych bulwarow-
ców. Dla nich nie ma żadnych świętości. Satysfakcję sprawia im obrażanie na-
wet tych ludzi, z którymi wcześniej zasiadali przy stole biesiadnym i sprawia-

li wrażenie, że wspólnie w tym samym kierunku ciągną ten sam piłkarski wóz. Rychło jednak zmieniali kurs i błotem obrzucali niedawnych kumpli. U rodzimych skandalistów zawsze górę bierze piekielne potępienie nad niebiańskim miłosierdziem. Czy to też musi przypominać „wojnę polsko-polską” i poszukiwanie wroga na siłę?

ZANIK SPOŁECZNEJ SYMETRII

Każda władza, w tym również „ta czwarta”, wysoko lokuje marzenia własne i obietnice wobec społeczeństwa. Grozi to zanikiem społecznej symetrii, w zamian generuje bufonadę, pozostającą w rażącej sprzeczności z realiami. W piłkarstwie taka postawa ludzi na świeczniku razi szczególnie. Wyzwała u szarego kibica nad wyraz jaskrawą dwojakość przeżyć emocjonalnych. Obiecane gruszki na wierzbie w starciu z rzeczywistością i pokrętnym tłumaczeniem niepowodzenia potęgują frustracje. W ślad za tym idą ogromne pokłady złości, a nawet agresji. Miłośnicy piłkarstwa karmieni nieuzasadnionym optymizmem z goryczą przyjmują więc opinię bardziej rozgarniętych komentatorów: – **Daleko nam do światowej czołówki!**

Dopiero wtedy, kiedy nieco osłabną te ambiwalentne nastroje, a napaśliwy stan ducha zacznie ustępować rozwadze, pojawia się smutna refleksja: – *Ktoś tu z nas zakpił, bo wyżej pępka bracie – nie podskoczysz!* Warunki, w jakich trzeba było urealnić ten nadmiernie rozbudowany horyzont szczęśliwości, konkretnie z tymi zawodnikami i stanowczo za bardzo im ufającym selekcyjnerem, to wszystko – po prostu przerastało nasze możliwości. Wystarczyło – będę to uparcie powtarzał – na sforsowanie bariery eliminacji, ale na finały Weltmeisterschaft 2006 – już nie. Dla nas, to wciąż jeszcze za duży rozmiar kapelusza.

Część prasy tę przypadłość dostrzegła, ale niezbyt wnikliwie sięgnęła do faktycznych źródeł tej mundialowej klapy. Znowu, bo to bardzo przewlekła choroba mediów, pływano po powierzchni tych niewątpliwie złożonych zjawisk. Na prędcie formułowane oceny najczęściej ograniczały się do bezpardonowego atakowania już i tak upokorzonych i przestraszonych funkcjonariuszy ze szczytów piłkarskiej władzy. Celem głównym był w zasadzie jeden i w odczuciu bulwarowców ten sam – prezes PZPN Michał Listkiewicz. Z iście inkwizytorską pomysłowością, precyzją drwała i nienawiścią charakterystyczną dla fundamentalistów, obarczano „Misia” za wszystkie grzechy. Nieudany występ reprezentacji na Mundialu w Niemczech i nieskuteczna walka z korupcją w kraju dolały tylko oliwy do ognia. Musi na nim spłonąć wróg publiczny numer jeden.

Zapełniono szpalty gazet jadem zemsty. Nazwano ludzi z „matecznika misiów” przy ulicy Miodowej w Warszawie „leśnymi dziadkami”. To nawet dość zabawne, ale tłamszone przez ciosy zadawane poniżej pasa i język z pograniczna rynsztoka. Nie tak dawniej bywało. W sześciu powojennych finałach mistrzostw świata „biało-czerwoni” bywali na wozie i pod wozem, ale za każdym razem opinia społeczna przyjmowała to z dużo większym zrozumieniem i spokojem. Stąd tego potępienia nie było. Bronię niesłusznej sprawy?

Nie lękam się płynięcia pod prąd i wygłaszania „niesłusznych” poglądów. Jestem na to uodporniony, wszak w PZPN i w redakcjach, w których pracowałem, też mówiono, że jestem „kontrowersyjny” i „ponadnormatywny”. A ja tylko potrafiłem odróżnić ziarno od plewy i dowieść, że „czarne nie jest białe”, a „białe – czarne”. Dziś w piłkarstwie też dostrzegam wiele zła i zżymam się, gdy w oficjalnych komunikatach PZPN wypisuje się bzdury, a po związkowych korytarzach wygłasza wyłącznie mocno przekoloryzowane oceny, niewspółmierne do „osiągnięć” listkiewiczowskiej ekipy. Dotyczy to głównie dru-

giej kadencji. Jednak zawahałbym się w stawianiu tak jednoznacznie brzmiącej diagnozy – „Listkiewicz na pochybel”. Bo to zbyt prymitywne rozwiązanie, skażone grubą warstwą zagrań pod publiczność i gustami znacznej części polityków.

Powierzchnowość ocen, nadmierny w nich populizm, zawsze budził mój sprzeciw. Ostatnio reaguję nieco ostrzej, bo odnoszę wrażenie, że oskarżeniami obciąża się głównie ludzi niewygodnych, o trudnym do strawienia życiorysie, po prostu obcych ideologicznie, nie „naszych”. W opinii rycerzy mocno nagłaśnianej „rewolucji moralnej” to właśnie ci „nie nasi” są źródłem wszelkiego zła. Nic, tylko posłać ich na szafot! Tak brzmiące głosy przyjmuję bez większych emocji. Radbym jednak poznać całą prawdę o korzyściach, jakie niektóre kluby, konkretnie ich właściciele wynieśli z ustrojowej transformacji. Pieniądz daje im nieograniczoną władzę również w futbolu. Pogoda dla bogaczy? I tak i nie... Nie potrafię tego skonsumować. Niegdyś wyłącznie kluby krajowe były kuźnią reprezentantów. Dziś są tam inne priorytety. Rodzimą młodzież coraz częściej wypierają zagraniczni wyrobownicy. A seniorzy wędrują po Europie. Jak z tego zbudować reprezentację?

Egoistyczne interesy, coraz wyraźniejszy prymat elementów komercyjnych i reklamowych nad szkoleniowymi, jest obecnie w znacznie większej cenie, niż dobro wspólne, narodowe. Nawet tak wyjątkowa sytuacja, jak udział reprezentacji w finałach mistrzostw świata, niewiele (i nie wszędzie) w tym względzie zmieniła. Wiem, wiem, czasy też się zmieniły. Kluby mają teraz inną orientację organizacyjną i szkoleniową, moc własnych problemów, muszą dbać głównie o dobry wizerunek własnego poletka. Wszak to nakręca interes. Czy robią to dobrze? Wyniki sportowej konfrontacji na arenie międzynarodowej mówią tu same za siebie. Przyczyn jest wiele, ale wciąż wygodnym tłumaczeniem własnej nieporadności bywa, to prawda – mało profesjonalne funkcjonowanie pił-

karskiej centrali. Ale czy to wypada tak natrętnie zasłaniać się wyłącznie tym już nieszczęlnym parawanem?

Wypadało by nieco wnikliwiej spojrzeć na błędy popełniane na własnym podwórku. Nadmiernie rozbudowana administracja – właśnie w klubach, również tam potęgująca się biurokracja, hodowanie menedżerów – pośredników łańsych li tylko na łatwy zarobek, uleganie namowom kawiarnianych doradców i kreatorów korupcji – to właśnie tam tkwią praprzyczyny wszystkich dotychczasowych niepowodzeń klubów, a w ślad za tym także reprezentacji. Znowu – jak złe echo – powraca hasło sprzed kilkadziesiąt lat: – „**Jakie kluby, taka reprezentacja**”. Bryndza na obu biegunach, bo tu swoje fałszywe „trzy grosze” dorzucają jeszcze „odrzuty z eksportu”.

W naszych klubach, tym najważniejszym ogniwie każdego sportu, w galopującym tempie obumiera troska o własny narybek. Kiedyś narzekaliśmy, że masowo giną u nas talenty. Nie, że ich brak, tylko – że giną! Istotnie były i rzeczywiście ginęły. Ale pojawiały się też piłkarskie perełki. Dziś pojęcie „futbolowe gwiazdy” funkcjonuje głównie w biznesowych umysłach znacznej części „ni-by-menedżerów” i ich dyletanckich zwolenników. Tymczasem wysychają piłkarskie źródła. Zamiera penetracja w małych klubach, łowców talentów coraz mniej i to znacznie niższych lotów. A oni polują na „grube ryby”. Błądzą. Nieliczne dziś „rodzynki”, zanim zdołają jako tako opanować piłkarski alfabet, już kreują na gwiazdy. Rychło więc przychodzi rozczarowanie.

Niegdyś słusznie twierdzono, że największą bolączką naszego futbolu jest wadliwa organizacja, natomiast dużo sprawniejsze szkolenie. Mimo tego bałaganu kluby i reprezentacja święciły triumfy. To był swoisty fenomen tamtych czasów. A teraz? Żal duszę ściska... Nadal kuleje organizacja i zarządzanie, ale kuśtyka również szkolenie. Nie zastąpią tego kłótnie w rodzinie. Gdzie my właściwie jesteśmy? Myślę, że do trafnej odpowiedzi na to pyta-

nie, jest w stanie nas zbliżyć czytelna wymowa społeczna jednej z niepowtarzalnych kronik Bolesława Prusa „**Wieża paryska**”. To czasy XIX-wiecznego kapitalizmu i apeli pozytywistów o pracę u podstaw. Dużo w tej prusowskiej opowieści elementów zabawnych, groteski i wybujałej fantazji, ale też sporo obrazów realistycznych o walorach ponadczasowych. Konstrukcja tematu iście wizjonerska.

Prus informuje, że przy budowie wieży Eiffla pracowało stu Niemców, stu Francuzów i stu Polaków. Przed każdą z tych ekip postawiono takie same zadania. Jak je realizowano? Dobrego świadectwa nam to nie wystawia. Polacy zaczęli podział pracy od kłótni, bo każdy ze stu wykonawców chciał być dyrektorem, czyli sprawować władzę nad resztą. Na dobre zaczęli robotę dopiero wtedy, kiedy Niemcy i Francuzi już postawili fundamenty. Każdy z nich otrzymał za to godziwą zapłatę, zapewniającą wikt i opierunek oraz niezłe oszczędności. Tylko skarbonki większości Polaków były puste, jedynie dyrektorzy mieli pełne trzosi. Współczesny morał z tej prusowskiej opowieści? My wciąż powtarzamy te same błędy.

Idźmy dalej. Francuzi i Niemcy, by ułatwić sobie pracę, wynaleźli kilka nowoczesnych maszyn, natomiast Polacy – wierni sarmackiej tradycji – zaprezentowali inwestorom wyszukane figury mazura i... składane łóżko. Tak „uniwersalne” (jak w futbolu pseudotaktyczny „diament”), że od biedy można by je przerobić na fortepian, a nawet na broń palną. Mamy słabość do takich pomysłów. Na Weltmeisterschaft 2006 usiłowaliśmy ów „diament” przerobić na worek bramek. Iluzja, ten „eksperyment” oczywiście nie wypalił. Ludzie sportu chętnie naśladują „odkrywców” nowych idei. Mają na to mandat społeczny, ale nader rzadko potrafią ten przywilej właściwie wykorzystać. Para idzie w gwizdek! W naszym piłkarstwie to wada o jeszcze dłuższej tradycji, niż ostatnio tak powszechne skłonności korupcyjne.

Każda nowa ekipa, głównie przed Bogiem i historią zapewnia, że gdy tylko „dosiądzie konia”, mocniej „pociągnie za cugle” i każdą głupotę poprzedników rychło naprawi. Dziś są to twarde kanony powszechnie nagłaśnianej polityki historycznej. Tu sport też ma swoją działkę: – Wszystko trzeba uzdrawiać! Intencje ludzi futbolu zawsze były, są i zapewne w najbliższej przyszłości też będą podobne. Kiedy już sternicy PZPN nie z tej epoki zawisną na gałęziach, jak za pociągnięciem czarodziejskiej różdżki, znajdziemy się w piłkarskiej krainie szczęśliwości. Wokół tylko futbolowa Arkadia! Przestańmy bujać w obłokach. Nie sądźmy, że gdyby do nowej siedziby PZPN znowu wkroczył jakiś komisarz i jego nawiedzeni zwolennicy, to już następnego dnia polskie piłkarstwo było by tak czyste, jak nowonarodzone dziecię, a organizacyjnie tak sprawne, jak niegdyś szwajcarskie zegarki. Czy jednak „nowi rodzice” byliby w stanie równie szybko i skutecznie obmyć zapewne też splamione ręce? Ponad dziewięćdziesięcioletnia historia PZPN dostarczyła moc dowodów na to, że „zamieniał stryjek siekierkę na kijek”.

Michał Listkiewicz, obejmując ster PZPN, też miał głowę pełną uzdrowieńczych pomysłów. Pozyskał dla ich realizacji moc sprzymierzeńców w kraju i poza jego granicami. Dumny, sięgnął więc po raz drugi po pezetpeenowską koronę. I tu zawiodła go wyobraźnia, zgubiła właśnie zbyt duża pewność siebie i co najbardziej przykre – infantylna wiara w pochlebców. Kiedy jednak grunt zaczął usuwać się pod nogami, odsunęli się od „Misia” ludzie, którymi się otoczył i... ślepo im zaufał. „Przyjaciele” pomaszzerowali drogą status quo ante i egoizmu, a nie zapowiedzianych reform. Przestali być lojalni, uczciwi, altruistyczni i zaprzędali się ciągłom korupcyjnym. Z marzeń o wizerunku PZPN zbliżonym do norm czołowych federacji europejskich pozostały tylko iluzje i wciąż bliskie kontakty osobiste prezesa z prominentami FIFA i UEFA.

Miał też eskdziennikarz Listkiewicz szczerą chęć znalezienia owocnych form współpracy z mediami. Pierwsza kadencja i w tej materii układa się nie najgorzej, ale druga – mimo przyzwoitych wyników reprezentacji – niemal od początku stała się istną „drogą przez mękę”. Z szeregu niedawnych sojuszników „Misia” pierwsi wyłamywali się ludzie pióra i mediów elektronicznych. Wcześniej, niż kilku prowincjonalnych baronów, najbardziej „czujących pismo nosem”, zbiegli z zagrożonej strefy. Razem wszczęli „rewolucję moralną”, choć nie wszystkim było z tym do twarzy, a i ręce też nie zawsze mieli czyste. Odrażała się i rosła w siłę armia współczesnych hunwejbiniów. Prezes początkowo „olewał” jednych i drugich, niektórych „synów marnotrawnych” zdołał w porę przywołać do porządku, a jednostki stojące dotychczas z boku starał się przekonać, że maszeruje w pierwszym szeregu zwalczających korupcję. A sędziów piłkarskich już nie darzy „miłością pierwszą i największą”. Może więc spać spokojnie. Podda się jednak osądowi delegatów na kolejnym Nadzwyczajnym Zjeździe PZPN.

Filozofowie powiadają, że najtrudniej być prorokiem we własnym kraju. Tylko Bóg mógł wiedzieć, co się wydarzy po mistrzostwach świata. Pójdą ludzie za kraty czy znowu po odbiór medali? Nie było klimatu na tradycyjne „kochajmy się!”. Głosy o praktykach przestępczych wyraźnie się nasiliły, w postępie geometrycznym rozrastały się też zastępy niezadowolonych z występu reprezentacji na niemieckim Mundialu. Nikt nie miał wątpliwości, że tkwimy w marazmie. Na Weltmeisterschaft 2006 stało się więc to samo, co podczas World Cup 2002. Dwa mecze przegrane w Gelsenkirchen i Dortmundzie, a w trzecim męczarnia w Hanowerze z Kostaryką. W zapłakanym nastroju powrót do domu. Przegraną z Niemcami można było przewidzieć i... wybaczyć, ale wpadkę z Ekwadorem już nie. Rozgorzało palenie świętości. Nie ma jednak dymu bez ognia...

Paweł Janas uległ urokowi udanych eliminacji i stanowczo za głośno grał na nastrojach kibiców. Media początkowo dzielnie tu sekundowały, ale gdy selekcjonerowi powinęła się noga, miłość doń przerodziła się w nienawiść. W zapomnienie poszły zwycięskie gry kwalifikacyjne, odżyła maksyma: – Jesteś tak dobry, jak twój ostatni mecz. Reprezentacja grała w Niemczech źle. To spowodowało zmianę uczuć. Czy mogło być lepiej? W tej konkretnej sytuacji – nie! W sferze czysto sportowej stanowczo za niska była forma zawodników wyniesiona z klubów, zwłaszcza tych zagranicznych. Na ratunek było już za późno. Rozgrzeszam Janasa? Nie, bo on też pobłądził w selekcji potencjalnych kandydatów. Niedoróbki dało się więc zauważyć po obu stronach: zawodnicy bez formy, selekcjoner bez wizji. A więc? Niemożliwa była skuteczna realizacja mundialowej strategii. W całym cyklu przygotowań zabrakło społecznej kontroli zamierzonych celów. Selekcjoner sobie tego nie życzył, czy wierchuszka z PZPN umywała ręce? Nie było atmosfery dla powielania opinii, że „pańskie oko konia tuczy”. Janas – tak naprawdę – sam nie wiedział na co właściwie stać naszą drużynę. Nikt z dobrą radą nie potrafił dotrzeć do selekcjonera i w porę zafrasowanego skutecznie wesprzeć.

Tego rodzaju piłkarskie operacje wymagają nie tylko trafnego wyboru systemu gry, to znaczy takiego ustawienia graczy na murawie, które w stopniu maksymalnym sprzyjałoby wykorzystaniu ich umiejętności techniczno-taktycznych oraz potencjału fizycznego i psychicznego. To piłkarskie abecadło. Jeśli wzbogaca je sprawna organizacja gry i wola walki, wspólny sukces, to mamy właściwy klucz do rozwiązywania zamierzonych celów. Pomysły, „jak to zrobić” rodzą się w głowach skłonnych do teoretyzowania trenerów, ale – nie ukrywajmy – właściwego kształtu i praktycznej wartości nabierają one dopiero na boisku. Stąd potrzeba sprawdzenia proponowanych założeń w grach szkolnych, kontrolnych i spotkaniach sparingowych. To wszystko musi grać jak w szwajcarskim zegarku.

Jest przecież podstawą do rzetelnej selekcji i oceny faktycznej wartości drużyny. Fakty dostrzeżone na turnieju finałowym w Niemczech zrodziły jednak wątpliwości, czy te sportowo niezbędne reguły zostały w pełni zachowane.

Już pierwszy mecz z Ekwadorem, najistotniejszy dla całej batalii, wyraźnie te niepewności spotęgował. Nasza ekipa pojawiła się na Weltmeisterschaft 2006 źle przygotowana, a w czasie gry nie była najlepiej prowadzona. To ważkie przyczyny przegranej, ale głównym powodem tego niepowodzenia, zresztą już tradycyjnie, było mierne wyszkolenie techniczne naszych reprezentantów. Gdy do tego doszły braki kondycyjne i uboga taktyka, siła naszego zespołu nie była na miarę mistrzostw świata. Zawiodły wszystkie trzy zazwyczaj zgodne piłkarskie boginie decydujące o sukcesie: technika, taktyka i kondycja. Na domiar złego pogłębiły je nie najwyższego lotu cechy wolicjonalne niektórych zawodników. Efekt! Ekwador, który miał być „wciągnięty przez naszych chłopców nosem”, wygrał premierowy mecz bez trudu. Górą była mundialowa gotowość rywala, a nie nasze chciejstwo. Jestem przekonany, że większość wybrańców Janasa chciała jak najlepiej reprezentować nasze piękne barwy, ale płuca i nogi na to nie pozwalały. Bo to nie była forma na Mundial!

JANAS MARZYCIEL

Przyczyn naszego niepowodzenia w Niemczech jest dużo więcej, są bardziej złożone, różnej wagi i rozkładają się na wiele osób z pionu organizacji i szkolenia. W odczuciu społecznym głównym winowajcą tej mundialowej wpadki jest jednak Paweł Janas. Taki to fach i los selekcjonera, raz jest na wozie, raz pod wozem. Osobiście mam do Pawła pretensje, że dał się zwieść wizji rzekomo „cudownego” systemu gry, nazwanego przez piłkarskich kuglarzy – „diamentem”. Nie mamy teraz aż tak wybitnych zawodników, by niemalże w „ciemno”, bez odpowiednich atutów

nadawać im wymiar szlachetnych kamieni. Zagrywki pokerowe w futbolu rzadko bywają skuteczne. Podejrzewam, że gdzieś w głębi chłodnej osobowości Janasa mocno tkwiły dawne przeżycia. W roli selekcjonera chciał przywrócić wspomnienia z bogatej przeszłości, pełne triumfów klubowych i reprezentacyjnych i przelać te osiągnięcia własne na współcześnie podległą mu młodzież. Widać nie w porę dostrzegł, nie on pierwszy i nie ostatni, że to nie ta skala talentu. To słabość wielu z nas.

Janas miał sporo powodów, by wierzyć w „swoją gwiazdę”. Mocno przyświecała mu w klubie i reprezentacji. W ładnym stylu wygrał przedmundialowe eliminacje. Jednak targały nim mieszane uczucia. Tę typowo ludzką przypadłość dzień i noc przypominały chwile cierpienia i upokorzeń, jakich doznał na początku swej selekcyjnej przygody. To odbiło się na jego psychice, zrodziło chorobliwą narosłość, którą mogłaby usunąć tylko ewentualna hossa na mistrzostwach świata. Potrzebował wsparcia, nie znalazł. Jak mickiewiczowski Konrad z III części „Dziadów”, mocno rozgoryczony mógł powtarzać za wieszczem: – „**Samotność! Cóż po ludziach? Czym śpiewak dla ludzi?**”? Jednak w leśnej głuszy z dwururką w dłoniach, wierzył w swoje selekcyjne posłannictwo i kreślił wizję upragnionego sukcesu. Liczył na udane polowanie, dużo lepsze – niż celne strzały do kaczek.

Wszystko to jednak legło w gruzach. Romantyczna, marzycielska dusza Janasa przegrała z realiami, surową rzeczywistością. Nie da się w naszych czasach „mierzyć sił na zamiary”, trzeba „mierzyć zamiary według sił”. A te, niestety – na skuteczną rywalizację w światowym futbolu były stanowczo za małe. Selekcjoner dał się zwieść iluzji. A ta okazała się złą wróżką, przesadziła z optymizmem. Z tym zespołem graczy, przecież mocno już wyeksploatowanych, nieporadnych współpracowników i tchórzliwych przełożonych, niesposób było wyjść z twarzą z tej konfrontacji. Janas udawał, że tego nie dostrzega, obiecywał za dużo. Źle ocenił kiepskie umiejętności i fatalną formę własnej ekipy. W starciu ze światową czołówką żywo przypominało to wyprawę z motyką na słońce.

W ostatniej chwili selekcjoner usiłował ratować tonący okręt. W trybie nagłym usunął – jak sądził – najśłabsze ogniwa, ale nie trafił w gusta oponentów. Znowu dostał obuchem w łeb. Reprezentacja bez Dudka, Kłosa i Frankowskiego? Ten Janas to jakiś idiota, piłkarskie zero, selekcjoner od siedmiu boleści! A on tylko w danym momencie usiłował realnie ocenić stan swojej załogi. Było w niej jeszcze sporo słabych ogniw, ale z konieczności zatrzymał się w połowie drogi, bo na dalsze retusze było już za późno. W świetle tego, co zobaczył zwłaszcza po przegranym meczu z Kolumbią, powinien jeszcze odesłać do domu Szymkowiaka, Krzynówka, być może nawet Żurawskiego – dotychczasowe lokomotywy reprezentacji, a już na pewno Rasiaka i Miłę. Ale wtedy zapewne rozległo by się jeszcze większe larum i przeważyła diagnoza stawiana przez psychiatrów: – **Janas do Tworek!**

Selekcjoner nie chciał być „Zosią-samosią”, starał się pracować w grupie, ufał zwłaszcza Edwardowi Klejndinstowi, szefowi niegdysiejszego „banku informacji”, a także Romanowi Hurkowskiemu. Otóż ten duet, cieszący się też moją sympatią, opublikował tuż przed wyprawą do Niemiec mundialowi przewodnik pod nośnym tytułem „**Piłkarski świat zaraz oszaleje**”. W gąszczu informacji na czasie, jest tam również intrygujący (głównie mnie) rozdziałik p.t. „*Dziewięciu naszych wspaniałych*”. Kto, zdaniem tych panów, zasłużył na tak duże wyróżnienie? Jacek Bąk, Marcin Baszczyński, Mariusz Jop, Mirosław Szymkowiak, Radosław Sobolewski, Kamil Kosowski, Euzebiusz Smolarek, Jacek Krzynówek, Maciej Żurawski. Jakie ich atuty o tym zadecydowały? Przekonują autorzy:

BAK: – Jacek jest dziś prawdziwym filarem reprezentacji... Bardzo dobrze dyryguje...

BASZCZYŃSKI: – Jest to chłopak, który ma wielkie serce do grania. obrońca bardzo waleczny...

JOP: – Obecnie spełnia on w kadrze bardzo ważną rolę...

SZYMKOWIAK: – Organizator i puls drużyny. Potrafi zagrać bardziej kombinacyjnie, niż Kupcewicz. Mirkowi nieźle zrobiła zmiana klubu z Wisły do Trabzonsporu.

SOBOLEWSKI: – Nie zna pojęcia kunktatorstwo. Po prostu energia go rozpiera. Musi troszkę więcej kalkulować.

KOSOWSKI: – To chłopak, który ma zagrania takie, których nikt inny by nie wymyślił. To taki dzoker, który może błysnąć w ważnym momencie.

SMOLAREK: – Bardzo dobrze wyszkolony technicznie. Urodzony do gry kombinacyjnej... Może grać na każdej pozycji w przodzie.

KRZYNÓWEK: – Dla naszej reprezentacji wciąż jest to bardzo ważny piłkarz. Potrafi walczyć, efektownie strzelić, przede wszystkim jest dogrywaczem. Zapewnia zespołowi stabilizację.

ŻURAWSKI: – „Magic”, jak go nazwano w Szkocji, ma mnóstwo zalet. Jest szybki, dysponuje bardzo dobrym strzałem z prawej nogi. Kiedy gra w parze z Mirkiem Szymkowiakiem, to wtedy rośnie wartość ich obydwu.

Po zapoznaniu się z tymi opiniami zapewne wielu kibicom grubymi plasterami miód spływał do gardła. Smakowitość, owszem – dla nieorientowanych, ale dla wtajemniczonych jakby nieco zatruta, wcale nie tak łatwo to przełknąć. Aż „dziewięciu wspaniałych”!. Gdyby w tej ferajnie znaleźli się jeszcze słusznie pominięci przez selekcjonera bramkarz Dudek i napastnik Frankowski (Kłos już od dość dawna odstawał od drużyny), to w pełnej krasie byłaby już wymarzona „cudowna jedenastka”. Nieco zde gustowany całkowitym rozminięciem się tych zapewnień i nadziei z rzeczywistością, skierowałem wzrok na własne wynurzenia w tej sprawie zamieszczone w piątej części tej publikacji. Przypominam to z bólem, ale też z przekonaniem, że w tej personalnej łamigłówce moje sugestie były znacznie bliższe prawdy, niż duetu quasi-selekcjonerów. Pisałem wtedy: